

# Władysław Terlecki

---

## Brulion

---

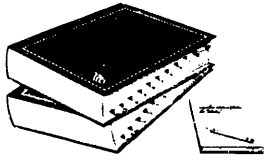
Palestra 38/12(444), 91-93

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



# Władysława TERLECKIEGO BRULION

Ścieżka wydeptana przez dziesiątki podobnych postaci. Brama więzienna, znajomi strażnicy, rutynowe sprawdzanie papierów, zdawkowa rozmowa z naczelnikiem więzienia, który skarży się na kiepskie warunki, w jakich przychodzi mu pełnić swoje obowiązki. Potem korytarz, drzwi do pomieszczenia, gdzie prowadzi się rozmowy z aresztantami. Oczekiwanie na więźnia, który wyraził w końcu zgodę na odbycie tej rozmowy wskutek otrzymanego od towarzyszy partyjnych polecenia. Uprzedzano go, że więzień jest arogancki, pewny siebie, odważny. I bardzo młody. Tymczasem ten, który teraz na niego czeka, jest człowiekiem zmęczonym, starym i zgorzkniałym. Podejmuje się obrony bardziej z przyziemnych konieczności niż z motywów ideowych, które na obrońcę nakładały (dziś zresztą też, dodajmy, czasami nakładają) szczególne, patriotyczne zobowiązania.

Idąc tu zastanawiał się, dlaczego właśnie jemu zaproponowano tę sprawę. Kim byli ci, którzy go o to poprosili, mógł się domyślać. Byli to z pewnością pozostający na wolności współnicy młodego więźnia. A może i ci, którzy wydawali mu rozkazy. Ale nie chciał się o nich dowiedzieć prawdy. Tłumaczył, że sprawa jest bardzo trudna. Czytał gazety, gdzie opisywano z detalami przebieg dramatu, w którym główną rolę odegrał jego przyszły klient. Nie było niestety wątpliwości co do winy. Złapany na gorącym uczynku młody mężczyzna był zabójcą. Nie ukrywał ani przez chwilę motywów zbrodni. Wykonywał po pros-

tu wyrok partyjnego sądu na zdrajcy. Czasy są niespokojne, nastroje radykalne wznoszą się z każdym dniem. Działają tajne związki niepodległościowe, tu i ówdzie marzy się sen o spełnionej rewolucji. Zbliży się rok 1905. Tak mniej więcej wygląda tło.

Motywy zbrodni zostały więc już na początku ujawnione. Pozostaje wymierzenie kary. I to w tym rozdziale potrzebny jest jego udział.

Dla tych, którzy prosili go o podjęcie się obrony, sprawa była zapewne równie prosta, jak dla zatrzymanego. Byli zdziwieni faktem, że nie okazuje gorliwej gotowości. Sąd zaborczy jest miejscem, w którym od dawna toczy się dramat o wielkim zaiste moralnym wymiarze. Powinien podjąć się tej roli, kierując się patriotycznymi nakazami. Nie odmawia się takim prośbom. A tymczasem chciał im powiedzieć, że jest zmęczony, stary, przywalony kłopotami, których tamci nie znają i których nie byłoby w stanie właściwie ocenić uważając, że wobec wymiaru sprawy, w której ma wystąpić, szczegółły takie w ogóle nie zasługują na uwagę. Chciał im też powiedzieć i to, że po ludzku się boi. Spytał tylko, czy oni naprawdę wierzą w cud sądowy? Odnosił również wrażenie, że możliwe do przewidzenia skutki są dla nich mniej ważne od wykorzystania sali sądowej jako dobrego miejsca do spiskowej agitacji. Cóż jeszcze powinien im wtedy powiedzieć? Że ich polityczne racje, zakładające możliwość ferowania wyroków przez tajne sądy partyjne, są mu w zasadzie obce. Jest zwolennikiem spo-

kojnych, bynajmniej nie rewolucyjnych działań. Ale tego im nie powiedział. Spytał również o pieniądze. Spojrzeli wtedy na niego z jakimś niesmakiem, ale okazali się gotowi do zapłaty. Bąkał im coś, że taka sprawa zabierze mu z pewnością dużo czasu i że będzie bardzo uciążliwa. Żeby nie myśleli, w każdym razie, że oczekuje czegoś nadzwyczajnego. Idąc później na pierwsze swoje spotkanie z klientem, uprzytomnił sobie, że kamraci młodego zabójcy muszą mieć w swoim gronie lepszych od niego. Dlaczego zatem jego odszukali? Czyżby uznali, że ta sprawa jest aż tak oczywista, iż tamtych lepszych od niego prawników nie należy nią trudzić? Skoro możliwy jest jeden tylko wyrok i skoro wyrok ten ociera się nieuchronnie o ów straszliwy ostateczny wymiar?

Kiedy zobaczył więźnia, odczuł jeszcze większy lęk i uprzytomnił sobie ciężar zadania, jakie miał wykonać. Morderca oświadczył mu zaraz na początku, że nie potrzebuje żadnej prawnej obrony, ponieważ nie uznaje trybunału, który ma go sądzić. Jeśli jednak oskarżony będzie na sali sądowej przemawiał, to tylko dlatego, aby jego słowa dotarły poza tę salę i z pewnością zrobi wszystko, aby jego głos był dobrze słyszany. Spytał, czy takie zachowanie, zdaniem więźnia, może wpłynąć na mniejszą surowość sądu? Zbyt to pytanie pogardliwym ruchem ramion. I tak już było do końca.

Jego głównym przeciwnikiem na wypełnionej publicznością sali okazał się sam więzień. Ku wyraźnemu zadowoleniu sędziów potwierdzał każdy szczegół określający winę. Wygłaszał buńczuczne, pełne partyjnej frazeologii i prostackie w gruncie rzeczy uzasadnienia swe-

go czynu. Szydził sobie z sądu, oskarżyciela i policyjnych rzeczoznawców. Mówił do siedzących na sali sprawozdawców sądowych po to, aby następnego dnia przeczytać w gazetach kilkadziesiąt relacji z procesu. Kilka razy uprzedzał wręcz, że nie spodziewa się dla siebie innego wyroku niż śmierć, ale też groził, że za jego kaźń odpowiedzą z pewnością wkrótce ci, którzy go na nią zaprowadzą. Mówił im, że doczekają się jeszcze większego rozlewu krwi, która ostatecznie w bliskiej przyszłości pomści wszelkie krzywdy. Przypominał w tym kiepskiego aktora, który sam sobie zakłada sznur na szyję. Jednak to nie była sala teatralna.

Kiedy wreszcie pod koniec procesu zabrał się do wygłaszania swojego przemówienia, pewien był, że zachowanie oskarżonego, choć na wstępie wywołujące wyraźne zadowolenie sędziów, w końcu jednak nie przekreśliło ich niepokojów i wątpliwości. Mówił więc o tym, że pewność siebie, którą zaprezentował jego klient, jest w istocie rzeczy wyrazem rozpaczliwej bezsilności, która pchnęła go, a także innych, jemu podobnych, do zbrodni. Winy nie próbował szukać w samym dążeniu do sprawiedliwości, ale w środkach, po które sięgano w celu jej wymierzenia. Jak bowiem karać takich zdrajców jak ten, którego jego klient zabił? Z ludzkiego punktu widzenia ten rodzaj zdrady, za którą karały tajne trybunały, zasługiwał na potępienie. W końcu zadał pytanie, czy śmierć tego człowieka, gdyby uznali ją za właściwy wymiar kary, powinna stać się motywem, który innego pchnie do następnej zbrodni?

Były to pytania bez znaczenia, ale rozsierdziły więźnia do tego stopnia, że

chciał mu przerwać wykrzykując, że dość ma tej całej gadaniny i że on sam wcale nie prosił o taką obronę. Wszystko to sprawiło, że mówił gorzej niż zwykle. Jego mowa nie stała się popisem, przejawem czystej sztuki, którą niczym pawie ogony pokazywali sprawniejsi od niego juryści. Bąknął na koniec, że w tej sprawie on, obrońca, jest również skazańcem. Jeden z sędziów ocknął się na

chwile i przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

Wszystko skończyło się potem zgodnie z przewidywaniami. Wyszedł z sądu. Myślał wtedy zapewne, że rodzaj ciężaru, któremu nie mógł żadną miarą sprostać, nie zostanie nigdy do końca określony. Ale dźwigać ten ciężar jednak trzeba. Aby jakiś głupiec napisał o słońcu sprawiedliwości.